BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 8. Niedziela, dnia 13-go kwietnia Rok 1913

WIEWIÓRKA.

(NOWELA Z FRANCUSKIEGO.)

I.

Było już wpół do ósmej wieczorem. Wbrew krajowemu przysłowiu, które na miesiąc luty zapowiada znaczny dnia przybytek, ciemna noc zapadła już oddawna. Znajdowaliśmy się wszyscy razem w sali jadalnej, oczekując na wieczerzę, którą u nas podawano zwykle o ósmej. Wesoły ogień, podniecany suchą buczyną, płonął na kominku, wyborna lampa przysłonięta umbrelą, zakreślała na ceratowem pokryciu stołu, obszerne koło światłości, a na poczerniałym suficie migotała maleńkim krążkiem, złocistych, igrających płomieni. Matka moja robiła wełnianą pończochę; ojciec, który był sędzią pokoju w Vorzenne, odczytywał sprawozdanie z ostatniego posiedzenia sądu, niedawno przyniesione przez woźnego, a ja siedząc w pochylonej postawie na taburecie, z piórem w zębach i palcami uwalanemi w atramencie, przerzucałem spiesznie słownik łaciński, aby jak najprędzej skończyć ćwiczenia gramatyczne, które miałem oddać nazajutrz naszemu wikaryuszowi, księdzu Gerdolte.

W sali panowała przyjemna cisza, cisza, wpośród której niknęły odgłosy lekkiego szmeru, pomnażając jeszcze uczucie spokoju i bezpieczeństwa, jakie przejmowało nas wszystkich; owego jednostajnego szmeru, przypominającego głosy słyszane we śnie, złożonego z szelestu przerzucanych stronnic, lekkiego szczękania drutów, trzasku ognia i niknącego w oddaleniu brzęku dzwonków kurjerki pocztowej, która ze stacyi Verdun, wjeżdżała właśnie do naszego miasteczka.

Ukończywszy szczęśliwie ostatnie zdanie mojego ćwiczenia: Septima die autem quievit, zamyślałem już na dobre o wypoczynku, nakreśliwszy u dołu stronicy zamaszysty zakręt; matka moja, zawinąwszy swą pończochę około kłębka, zatknęła w nią druty, a ojciec po przeczytaniu sprawozdania, zamykał do pudełka okulary, aż wtem nagle na odgłos dzwonka, który się rozległ przed sienią, wszyscy popodnosiliśmy głowy.

— Któż to może być taki u licha? — zawołał ojciec, poprawiając ogień na kominku.

— A to mi śliczna pora do odwiedzin! — dodała matka, niezbyt pobłażliwa i nie lubiąca, ażeby przeszkadzano jej mężowi przy wieczerzy.

Wtem posłyszeliśmy jakieś szepty i odgłos kroków w sieni, a w chwilę później drzwi sali jadalnej otwarły się z pośpiechem, i nasza służąca, Scholastyka zawołała, wsuwając głowę:

— A to proszę państwa, jakiś podróżny chce się widzieć z panem!

Prawie jednocześnie, tuż za plecami służącej, jakiś głos męski, zarazem głuchy i trwożliwy, wyjąknął nieśmiało:

— Czy mię nie poznajesz, Justynie! To ja, przyjechałem na krótki czas do ciebie.

Ojciec mój, który wziąwszy lampę ze stołu, podniósł ją umyślnie w górę, tak, ażeby jej światło padało na twarz wchodzącego, nagle postawił ją na kredensie i wydawszy okrzyk serdecznej radości, pomięszanej z podziwieniem, rzucił się na szyję gościowi.

— Ach! to ty kuzynie Bastien! Doprawdy! miła niespodzianka! No! prosimy dalej kuzynku! Scholastyko! odbierz walizę i zdejm płaszcz z pana!

Potem obróciwszy się do matki — dodał, ujmując dłoń podróżnego:

— Przedstawiam ci, droga Eulalio! pana Bastien, krewnego i starego przyjaciela naszej rodziny! Wypiastował mnie on niegdyś na kolanach i nieraz ci już o nim mówiłem... A ty kuzynie! masz tu przed sobą moją żonę i mego chłopaka Józia, kończącego już rok dziesiąty... No! dalej-że, uściskajcie się i przysuńcie fotel kuzynowi... Musiał on porządnie zziębnąć... Moja poczciwo Scholastyko! a postaraj się tam, żebyśmy mieli co dobrego na wieczerzę.

Przez cały ten czas przyglądałem się wielkiemi oczyma nieznanemu kuzynowi.

Postawił on na ziemi staroświecką walizę, podłużną, z okrągłem nakryciem, spiętą po bokach na dwa rzemienne pasy, zdjął z siebie ciemną, grubą burkę obciśniętą w stanie, przybraną sześcioma wąskiemi kołnierzykami i ukazał się przedemną, jako starzec sześćdziesięcioletni; wysoki, szczupły, zakrzywiony, jak sierp, ubrany w sukienny surdut, orzechowej barwy. Szyja jego była opasana wąziutką chustką, po nad którą sterczała jego twarz chuda, wygolona, blada, z oczyma niebieskiemi i poczerwieniałemi powieki; włosy jego były już zu-

pełnie siwe. Tłómaczył się nieśmiało, iż przybywa o tak spóźnionej godzinie, a ja nie mogłem się dość nadziwić, że ten głos gruby, tak głuchy i smutny, mógł wychodzić z tego wyniosłego, szczupłego ciała, pochylonego, jak trzcina.

Mój ojciec usadowił go wygodnie w fotelu, a matka dorzuciła na ogień kilka kawałków drzewa, które zatrzeszczały wesoło.

Kuzyn usiadłszy na samym brzegu krzesła, uśmiechał się nieśmiało, wyciągając do ogniska swoje ręce, chude i ostrokończyste, jak cała jego osoba.

— Cieszę się... niezmiernie się cieszę, że cię znów oglądam, — mówił głosem drżącym jeszcze, podróżował bowiem na przodzie kuryjerki, a na dworze było porządnie zimno.

— W samej rzeczy, bardzo dobrze zrobiłeś, żeś sobie o nas przypomniał i możesz wierzyć, że i my cieszymy się serdecznie z twoich odwiedzin, — odpowiedział mój ojciec, ale dlaczegóż nas nie uprzedziłeś o twojem przybyciu?

— Wiesz, że powziąłem postanowienie dopiero w ostatniej chwili i wstąpiłem tu do was w przejeździe!

— W przejeździe! a więc dokąd udajesz się właściwie?

— Ależ nigdzie! — odrzekł naiwnie; potem zaś dodał, ze smutnym uśmiechem:

— Jeżeli gdziekolwieik wyjeżdżam, to nigdy po to, aby dążyć do celu, ale po prostu dla zmiany miejsca... Ja nigdy nie mam celu!

— A jednakże kuzynie Bastien, masz przecie gdzieś dom, w którym mógłbyś odzyskać dawne nawyknienia i własne ognisko! — zauważył z uśmiechem ojciec.

— Nie mam już własnego ogniska! i poprzestaję na obozie przenośnym.

— A twój dworek w Val, gdzie za szkolnych czasów tak miłe przepędzałem wakacye, które tak mi się starałeś urozmaicać?

— Nie mieszkam w nim już oddawna, jak wiesz, od owego czasu, gdy... Ale nie mówmy już o tem! — westchnął poczciwina, zasłaniając twarz rękoma, — mówmy lepiej o tobie, mój zacny Justynie!... Odebrawszy twój list z powinszowaniem nowego roku, znajdowałem się właśnie w Bourmont. Wówczas to, przypomniawszy sobie szczęśliwe chwile z tobą spędzone, przyszła mi nagle myśl do głowy: Ha! możeby to było i nie źle, zobaczyć, co się dzieje z tym poczciwym chłopcem?... Zpakowałem moje rzeczy... a trzeba ci wiedzieć, że ja nigdy nie potrzebuję się długo wybierać, całe moje gospodarstwo mieści się w jednym dużym kufrze, który składam gdzieś na górze, w pierwszym, lepszym zajeździe... Zarzucam tedy płaszcz na ramiona i ruszam sobie w podróż!

Matka moja spojrzała na niego zdumionym wzrokiem.

— Tam do licha! — zawołał ojciec, — ależ to czyste życie Żyda wiecznego tułacza!... Nieprzyzwyczaiłbym się tak łatwo do czegoś podobnego, ani ty także, nieprawdaż Eulalio?

— Rozumiem to dobrze... rozumiem! — pomruknął Bastien, wstrząsając głową. — Bo też ty mój drogi, masz żonę i dziecko; a to są przyczyny, przywiązujące do miejsca. Są to punkta oparcia, naokoło których wzrastają nawyknienia, jak owe pnące rośliny, które nas oplatają. Ale ja nie mam już żadnych nawyknień... jestem rośliną bez korzeni.... Bez korzeni! — powtórzył swoim grubym głosem.

Słowa te brzmiące, niby odbicie jakiegoś bezbrzeżnego smutku, przeszyły mnie bolesnym dreszczem, który przeszedł wkrótce pod wpływem tej myśli, że ja posiadałem przecie swój kącik domowy, wraz z ciepłem ogniskiem, u którego codzień wolno mi się było ogrzewać i dobrą wieczerzę, co właśnie na mnie oczekiwała. Ten zwrot samolubny do mojej własnej osoby i porównanie mego łatwego istnienia, z tułaczem życiem kuzyna Bastiena, przejęły mnie słodkiem uczuciem, podobnem do tego, jakiego doświadczamy, leżąc w ciepłem i miękkiem posłaniu, podczas gdy deszcz i zawierucha szaleją na dworze. Słuchając smętnej mowy kuzyna, zamknąłem oczy do połowy i widząc już tylko w niepewnych zarysach blask ogrzewającego ogniska, przytuliłem się z większą rozkoszą do mojego ojca.

Matka wymknęła się do kuchni, dla przyspieszenia wieczerzy i dodania jakiejś smaczniejszej potrawy. Słyszeliśmy ciężki chód Scholastyki, która krzątała się bezustannie, otwierając i zamykając szafy. Z odgłosem jej kroków mieszał się szczęk talerzy, brzęk podnoszonych pokrywek i lekkie uderzenia widelca, którym ubijano białka na pianę, prawdopodobnie do jakiejś leguminy, przygotowywanej na cześć kuzyna Bastiena.

Ten ostatni, oparłszy ręce na poręczy krzesła, z nogami wyciągniętemi ku galeryjce komina, mrużąc oczyma, zdawał się również ulegać błogiej atmosferze dobrobytu, jaka panowała na sali jadalnej. Od czasu do czasu otwierały się drzwi przyległe i Scholastyka, rzeźka jeszcze pomimo swej tuszy, wchodziła, niosąc różne przybory do wieczerzy; nakryła stół białą serwetą z czerwonemi brzegami, porozstawiała talerze, pokrajała chleb, poskładała serwetki w kształt infuły biskupiej, a z kuchni dostawał się aż do nas przyjemny zapach rumienionego cukru.

Kuzyn Bastien cofnął nakoniec pod fotel swoje chude nogi, którym ogień już zanadto dopiekał przez cienkie pokrycie odzieży i podniósłszy głowę, zmierzył mię przyjaznym wzrokiem.

— Tęgiego masz chłopaka, kuzynku! jestem pewien, że to najpoczciwszy dzieciak w świecie... A jaki duży na dziesięć lat wieku!

— Ha! złe ziele zawsze prędko rośnie! — odrzekł mój ojciec, — jest to mały urwis, który nam hałasuje nad głową od rana do wieczora.

— Pójdź no tu do mnie, malcze! — odezwał się kuzyn, przyciągając mię do siebie. — Ja tak kocham dzieci... Wszakże się mnie nie boisz, nieprawdaż?

— O! tak proszę pana, — odrzekłem, przypatrując mu się z bezczelną ciekawością młodego wieku.

Co prawda kuzynek wydawał mi się nieco potwornym. Jego długa i chuda postać, obwisłe ubranie, wraz z bladą twarzą z poczerwieniałemi powiekami, nie stawiały go bynajmniej wysoko w mojem mniemaniu, i wobec moich niedojrzałych pojęć, nie przysądziłem mu zbyt wielkiej wartości. Dzieci są w tem podobne do psów i służących, iż najlepiej lubią sądzić z pozoru i czują wstręt instynktowny do ubogo ubranych przybyszów. Raczyłem jednak pozwolić, ażeby mię kuzyn wziął na kolano.

Podniósł on mnie lekko, jak piórko i otoczywszy ramieniem, usadowił mocniej na swoich no-

gach, których wystające kości sprawiały mi nieprzyjemne wrażenie i odgarnął delikatnie włosy, otaczające naturalnemi kędziorami moje czoło.

— Co za prześliczne jasne włosy! — westchnął zcicha — czysty jedwab! O! jak ja lubię głaskać takie włoski dziecięce. Przypomina mi to dawne czasy... Znałam ja jednego chłopczynę, co miał zupełnie takie same kędzierzawe włoski, jak ty mój maleńki... Czy przypominasz go sobie, Justynie?

Na to zapytanie twarz mojego ojca przybrała wyraz współczucia, pomięszanego z zakłopotaniem, podobny do tego, jaki przybieramy, wchodząc do domu dotkniętego świeżem nieszczęściem.

— O! tak — odpowiedział cichszym głosem, — przypominam sobie dobrze wigilię Bożego Narodzenia, którą obchodziliśmy u ciebie...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TESTAMENT POLKI.

Napół wzniesiona na miękkiej pościeli,
Biała, jak marmur, i cała też w bieli,
Leżała bólem śmiertelnym targana
I była cisza, jak w świątyni Pana.
Już resztą ducha tlała jej źrenica,
I wkrótce wielka życia tajemnica
Miała się spełnić.... U łoża zbolały,
Stał jej małżonek, we łzach tonąc cały.
A obok dłońmi zakrywszy swe lica,
Klęczały dzieci — młodzian i dziewica.
Wszyscy milczeli... Wtem po dłuższej męce.
Usiadła chora i, kładąc swe ręce,
Na głowie syna, drżącym rzekła głosem:
— Trzeba, mój synu, pogodzić się z losem....
Ja wkrótce stanę już w obliczu Boga,
Ale przed tobą długa jeszcze droga,
Więc zanim śmierć mię z pęt ziemskich wyzwoli,
Posłuchaj matki twej ostatniej woli;
Wiesz, do jakiego należysz narodu,
Bom cię go kochać uczyła za młodu.
Toż pomnij synu polskiej niewolnicy,
Żeś i ty dzieckiem świętej męczennicy,
I że jak wierny rycerz jej zakonu,
Służyć jej musisz do samego zgonu!
I pomnij również, że wszystko, czem darzy,
Na drogę życia Bóg ziemskich nędzarzy
I co u świata w najwyższej jest cenie,
Zdalności twoje i życie i mienie,
Każda krwi kropla, co w żyłach twych płynie.
Do niej należą: że pokąd tchu stanie,
Tyś przez nią tylko żyć winien i dla niej,
A każda myśl twa, każde serca tętno,
Do tego tylko zmierzać ma jedynie,
Aby z jej czoła zdjąć niedoli piętno;
Do tej zaś mety — tylko jedna droga:
Kochać Ojczyznę tak, jak kochasz Boga.
A teraz jeszcze, ty droga dziecino,
— Dodała, córki obejmując skronie,
Posłuchaj rad mych, które z duszy płyną;
I w twojem sercu znicz ojczysty płonie,
I ty chrzest polski wzięłaś już w powiciu,
Toż nie zapomnij o tem nigdy w życiu,
Że Polki stoją w Ojczyźnie na straży,
I los narodu w ich ręku się waży!
Tyś Polką: noś-że z godnością to miano,
I czcij je zawsze, jak najdroższe wiano..
Nie oddaj nigdy wrogowi ręki,
Choćby posiadał archanioła wdzięki.

DOM I SZKOŁA.

III.

Przez kilka pierwszych lat szkólnej nauki dzieci nasze zużywają znaczną część energii, inteligencyi i pilności na mozolne pokonywanie trudności niemieckiego języka, który im jest po części zupełnie obcy. Często podnoszony zarzut ze strony Niemców, jakoby dzieci nasze posiadały dostateczną znajomość języka niemieckiego, gdy rozpoczynają naukę szkólną, jest płytki i pozbawiony podstawy. Znają wprawdzie dzieci nasze pewną ilość imion rzeczy, o których ciągle mowa w życiu codziennem, umieją też niektóre zdania łatwe, codzień powtarzane, — ale czemże jest ta odrobina wobec wymagań szkoły?

A chociaż są dzięki Bogu nauczyciele Niemcy, którzy odczuwają sercem i mierząc doświadczeniem pedagogicznem ogromną trudność, z jaką walczyć musi mała istota, starają się jej dopomódz, wyrażając się w sposób jaknajwięcej prosty — choć pierwszy elementarz niemiecki (Fibel) ułożony jest zręcznie, mile i przystępnie dla umysłu dziecięcego, pomimo to wszystko trudność obcego języka istnieje i jest wprost olbrzymia dla dziecka, które w domu rodzicieleskiem mówi tylko po polsku.

Dorosły człowiek, zmuszony obce sobie pojęcia przyswajać i przerabiać za pomocą obcego języka, uważałby tę pracę za nadzwyczajnie trudną, lub wprost niemożliwą, starałby się ułatwić ją sobie za pomocą kombinacyi t. j. łączenia pojęć i wyrazów znanych z nieznanymi.

Jakże dopiero wielką musi być ta trudność dla dziecka! Umysł dziecięcy lotny, swobodny i niefrasobliwy oczywiście nie zdaje sobie sprawy z tego, co szkoła odeń wymaga, pełni mechanicznie też i jedynie pamięciowo przyswaja sobie pewien zasób wyrazów niemieckich, nie wnikając w ich treść. Jakże sobie wobec tego wytłómaczyć objaw często stwierdzony, że uczniowie polscy na ogół nie gorsze, często lepsze robią postępy niż niemieccy. Objaw to ciekawy i niezmiernie charakterystyczny. Możemy go wytłómaczyć jedynie opiekuńczą dobrocią Opatrzności, która narodowi uciśnionemu daje szczególne talenta i siły do znoszenia krzywd i powetowania strat zadanych — tej samej Opatrzności, która zwierzętom i roślinom daje narzędzia obrony i samozachowawcze instynkta.

Gdyby można spisać statystykę owych umęczonych główek naszych dzieci w pierwszych latach szkólnej nauki — gdyby można odmalować wysiłki ich mózgu, który w tych trudnych warunkach zdobywać musi naukę, jaką dzieci niemieckie tak łatwo otrzymują — byłaby to historya przejmująca swym smutkiem więcej jeszcze, niż nasz ucisk zewnętrzny, światu wiadomy.

Są statystyki które nie mówią, lecz płaczą. Ale my nie płaczmy nad dziećmi naszymi łzami bezsilnego żalu, lecz rozmyślajmy raczej, jakoby im pracę

szkemą ułatwić i wydobyć z niej jak najwięcej korzyści. M. G.

PATRONKA MUZYKI.

Żywot świętej Cecylii możnaby nazwać przepięknym poematem, obfitującym w obrazy pełne grozy i uczucia. Święta Patronka muzyki żyła w pierwszej połowie III wieku. Rodzice jej, możni patrycyusze, jeżeli nie byli sami chrześcianami, to przynajmniej nie należeli do zaślepionych bałwochwalców i tolerowali naukę Chrystusa, bo wątpliwości nie ulega, że córka ich od dzieciństwa była wychowaną w prawdziwej wierze i swobodnie mogła się poświęcać ćwiczeniom religijnym. Wiadomo, że uczestniczyła w spólnych modłach prześladowanych chrześcian, odwiedzała w tym celu podziemia męczenników i świadczyła wyznawcom Chrystusa wiele dobrego. Ulegając woli rodziców, pojęła za małżonka szlachetnego patrycyusza Waleryana, ale związek ten zawarła po to, aby swemu Boskiemu Oblubieńcowi przysporzyć więcej wiernych. W dniu ślubu Bóg ją obdarował cudownem widzeniem: chóry anielskie oznajmiły jej, przy dźwięku niewysłowienie słodkiej melodyi, o posłannictwie. Zachwycona dziewica głos swój z tym chorałem nieziemskim połączyła i odśpiewała z natchnienia znany hymn: „Niech będzie serce moje niepokalane...” Pamięć tej chwili przechowała się na zawsze między chrześcianami a Kościół dla jej uczczenia zaszczycił świętą Cecylię mianem królowej harmonii.

Przed ślubem Cecylia nawróciła Waleryana; uznał on Chrystusa a Sakramentu Chrztu świętego udzielił mu biskup Urban. Za sprawą Waleryana nawrócił się Tyburcy, brat jego. Od tego czasu Cecylia, Waleryan i Tyburcy o ile mogli uprawiali Winnicę Pańską. Zwrócił na to uwagę prokonsul Almachiusz i zawezwał braci do tłómaczenia; gdy zaś śmiało oświadczyli się za chrześcianami, kazał ich ubiczować a następnie ściąć. Z poddaniem godnem Chrystusowych rycerzy śmierć ponieśli a ich męstwo stało się powodem nawrócenia wielu pogan. Prokonsul mniemał, że będzie mógł majątek umęczonych zagarnąć; omylił się jednak, bo Cecylia wcześniej rozdzieliła go pomiędzy ubogich spółwyznawców. Almachius wpadł w wściekłość, zawezwał do siebie świętą i, wiedząc, że jest chrześcianką, rozkazał, aby bogom pogańskim złożyła ofiarę. Ze wstrętem odtrąciła podawaną przez kapłanów kadzielnicę: „Bogi wasze — to miedź, marmur albo drzewo, mój Bóg nie jest tworem znikomym; On Wszechmocny, był, jest i będzie” — odparła.

Święta sama wygłosiła na siebie wyrok męczeństwa. Prokonsul kazał ją zamknąć w jej własnych łaźniach domowych i tam udusić zapomocą pary, ale naprόżno rozpalono olbrzymie ognisko; chociaż para wydobywała się z dwudziestu czterech otworów izby, w którą wtrącono męczennicę, jakaś moc dziwna rozwiewała ją a skazana nie doznała najmniejszych cierpień. Dowiedziawszy się o tem prokonsul, wysłał kata — ten miał zadać mieczem cios śmiertelny; ciął więc po trzykroć, jednak życia jej nie pozbawił; zbroczona krwią przeleżała trzy doby na podłodze, w otoczeniu chrześcian, którzy na wieść o męczeństwie tłumnie na miejsce mordu napłynęli. Święta do ostatniej chwili dziękowała Niebu za doznane męczeństwo i umacniała w wierze spółwyznawców. Oczy jej zamknął biskup Urban, on też zwłoki jej pochował, w trumnie z drzewa cyprysowego, w podziemiach, naprzeciw grobowców męża i szwagra. Z czasem katakumby uległy zniszczeniu i nie można było odszukać szczątków świętej Męczennicy; dokonał tego Papież Paskal II, zapomocą cudownego objawienia. Wreszcie w r. 1599 siostrzeniec Grzegorza XVI, Paweł Emil Słondrate, otworzył trumnę świętej i odnalazł zwłoki w stanie najzupełniej świeżym; nawet suknie i chusty krwią zbroczone, a przez biskupa Urbana do trumny złożone, nie uległy zniszczeniu. Kardynał Sfondrate z czcią należną odnowił grobowiec świętej Męczennicy i w nim złożył czcigodne szczątki. Cud to sprawił, że zwłoki świętej w tysiąc czterysta lat po zgonie nie uległy zepsuciu.

Relikwie małżonka świętej Cecylii, świętego Waleryana, przywiózł do Polski dnia 15 czerwca 1673 r. biskup Stefan Wierzbowski; znajdują się one w Górze Kalwaryi w kościele OO. Bernardynów.

Dla domu i gospodarstwa.

Czystość skóry.

Hygiena jest jedną z podwalin nietylko dobrego zdrowia, lecz i dobrego wychowania; lekceważymy ją, nie troszcząc się o czystość ciała, t. j.: skóry, włosów, jamy ustnej, dziąseł, zębów. Wiadomo, że w powietrzu zawsze się unoszą cząsteczki z różnorodnych organicznych i nieorganicznych związków złożone (sadze, kurz, pył i t. p.), które osiadają na powierzchni przedmiotów, a więc na szyi, rękach, twarzy, włosach, odzieży; prócz tego skóra sama przez się przedstawia warunki zanieczyszczenia, bo na jej powierzchni osiada złuszczający się naskórek, pewna ilość tłuszczu, wydzielanego przez gruczoły tłuszczowe i pot, wytwór gorąca lub pracy mechanicznej. Ów osad z powietrza i organiczny tworzy t. zw. brud, powłokę ciemną, lepką, do której przylegają rozmaite drobnoustwory. To nam tłómaczy, dlaczego jednostki nieporządne tak często podlegają chorobom skórnym, jak np. świerzbie. Czystość jest także konieczną, aby czynność skóry odbywała się prawidłowo; czynność ta polega na wydzielaniu przez powierzchnię skóry pewnych wytworów ciała już dla organizmu nieprzydatnych, a jest tak ważną, że stworzenia, których skóra została pokryta warstwą nieprzepuszczalną, w krótkim czasie żyć przestają. Skóra przez pewien czas nie myta spełnia swoją funkcyę niedostatecznie; pory jej ulegają zaślepieniu a złuszczony naskórek i tłuszcz skórny drażni ją, powodując nieprzyjemne wysypki. Wreszcie przez zaniedbanie czystości osłabia się skórę, im bowiem częściej ją oczyszczamy, tem krew dokładniej krąży w włoskowatych naczyniach a tem samem prawidłowo skórę odżywia. Szczególniej podatną do zanieczyszczenia jest skóra na głowie; głównym środkiem doprowadzenia jej do porządku, ważniejszym niż zmywanie, jest częste rozczesywanie włosów. Czesanie ma cel dwojaki: usuwa cząstki z powietrza osiadłe i wzmacnia włosy. Włos jest utworem rogowym, zaopatrzonym w gruczołki tłuszczowe; czesząc włosy rozprowadzamy po nich tłuszcz, przez co nabierają one sprężystości i połysku, w przeciwnym razie stają się kruchemi, siwieją, łamią się i wypadają.

